



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.



Okolice Nicei.

OKOLICE NICEI.

Wybrzeża Śródziemnego morza słyną z bogactwa swęj roślinności, ale większa część tych ozdobnych drzew, krzewów i ziół, rosnących tam obecnie dziko, pochodzi z różnych dalszych okolic, z innych części świata. Na żyznym tym gruncie, w rozkosznym klimacie, niezbyt zimnym i niezbyt gorącym, wszystkie rośliny łatwo się przyjmują i rozwijają bujnie. Widząc naprzykład ogromne, gęste zarośla opuncyj, czyli kaktusów, możnaby sądzić, że one tam od stworzenia świata, jak najpospolitsze chwasty rosły. A jednak botanicy wiedzą, iż cała rodzina kaktusów pochodzi z Ameryki, przed odkryciem Kolumba, nikt ich w Europie nie widział.

Cytryny i pomarańcze, których niezmiernie mnóstwo jest wszędzie w krajach nadśródziemnomorskich, nieznane tam były wcale za czasów starożytnych Greków i Rzymian. Piękne te drzewa pochodzą z Azji, cytryny dawniej nieco, bo już za Aleksandra Macedońskiego sprowadzone były do Europy i zasadzone w Grecyi i Włoszech, ale pomarańcze rozpowszechnili dopiero Arabowie, gdy zawojowali półwysep pirenejski.

W ogrodach Nicei udają się także palmy, są to po większej części gatunki karłowate, rosną jednak i palmy daktylowe, i kokosowe, tylko owoców nie wydają. Teraz wszędzie we Włoszech zaprowadzają znów drzewa australskie, rozdręby, czyli eukaliptusy, które mają tę bardzo szacowną własność, że liście ich aromatyczne (drzewa te należą do rodziny mirtów,) pochłaniają wszelkie cuchnące wyziewy, i oczyszczają powietrze. Rozdręby szybko bardzo rosną i wkrótce zapewne w okolicach nadśródziemnomorskich utworzą znaczne lasy. W późniejszych czasach trudno będzie uwierzyć, że to są drzewa zamorskie.

PANNA BARBARA.

KOMEDYJKA W JEDNÉJ ODSZONIE.

(Dokończenie).

Scena VII.

Ciąż SAMI, JADZIA.

JADZIA (która podczas ostatnich słów Adasia stała na progu i słyszała, podbiega szybko do niego).

Adasiu, czyś oszalał, co ty pleciesz?

PANNA BARBARA.

Rycerz, stający w obronie prześladowanej niewinności! Piękne mnie tu przyjęcie spotkało. Ale ja na to nie uważam i będę swoje robiła. Nie spodziewam się, żebyś się i ty, moja panienko, dała zbuntować.

JADZIA.

O nie, panno Barbaro, ja nie jestem taka, jak się pani zdaje, będę ulegała, nie sprawię pani najmniejszej przykrości, jeśli to będzie w mojej mocy.

PANNA BARBARA (nie zważa na nią i siada przy stoliku, na którym leżą książki i Pisma różne, bierze je do ręki).

Co ja widzę! Przyjacieli Dzieci, Wieczory Rodzinne, książki z powieściami, podróży, komedyjki! Zgroza! I wy to wszystko czytacie?

JADZIA (zdziwiona).

Czemużbyśmy nie mieli czytać? Rodzice pręnumerują dla nas te Pisma i kupują książki.

PANNA BARBARA.

Ależ to strata czasu niedarowana. O, nic z tego, konfiskuję to wszystko, od tej chwili nie będzie tu na wierzchu żadnego świstka drukowanego, oprócz gramatyki, geografii, arytmetyki. Czasem, w niedzielę, i to jeżeli zdania będą dobre przez cały tydzień, pozwolę z godzinkę poczytać, ale więcej wara.

JADZIA (cichutko z zalem).

Taka śliczna ta powiastka, nie dokończyłam jęj jeszcze...

PANNA BARBARA.

To i nie dokończysz.

ADAŚ (bierze Jadzię na stronę i mówi jęj do ucha).

Bądź spokojna, ja wykradnę wszystkie Pisma i książki u tęj czarownicy, zabiorę do oficyny, przyjdiesz tam do mnie i będziesz czytała.

JADZIA.

Niechże Bóg broni, czyż możesz mię do takiego oszustwa namawiać.

ADAŚ.

I będziesz to wszystko znośiła?

PANNA BARBARA.

Co tam za szeptę? Proszę mówić głośno, ja nie lubię tych sekretów. Pozbieraj te książki, moja panienko, włóż je do tęj szafy i klucz mi tu przynieś.

(Jadzia z westchnieniem zbiera Pisma i książki, chowa je do szafy i klucz oddaje, wszystko to podczas rozmowy Adasia z panną Barbarą).

ADAŚ.

Jak pani może być tak okrutną dla Jadzi? ona tak lubi czytać.

PANNA BARBARA.

A ja lubię posłuszeństwo i rygor.

ADAŚ.

Ależ ta biedna dziewczyna nie wytrzyma takiego prześladowania.

PANNA BARBARA.

Nie spodziewałam się podobnego przyjęcia u dzieci mojęj najlepszej przyjaciółki; ale jeżeli jestem taka dla was nieznośna, jeśli wam tak bardzo dokuczyłam w przeciągu niespełna godziny, to cóż robić, odjadę napowrót do Cieplic i powiem matce, żeście nie mogli ze mną wytrzymać (wstaje, bierze do ręki kapelusz i płaszczyz podrożny).

ADAŚ (na stronie).

Z Panem Bogiem.

JADZIA (przybiegając do nięj).

O, droga panno Barbaro, pani tego nie robi, wszak to tylko Adaś mówił te niedorzeczności, ja nic podobnego nie pomyślałam nawet. Pani się przekona, że ja potrafię być uległą i cierpliwą.

PANNA BARBARA.

I wytrzymasz to prześladowanie? nie poskarżysz się matce?

JADZIA.

Niechże Bóg broni, mamaby się tak zmartwiła.

PANNA BARBARA.

Ale jeżeli ja będę coraz nieznośniejsza?

JADZIA.

To nic, panno Barbaro, ja będę coraz cierpliwsza, żeby nie martwić mamy i żeby pani mnie kiedyś choć troszeczkę pokochała. O, bo ja zawsze pamiętać będę o tém, co było na pensyi, o dobroci pani i cierpliwości dla małej, kapryśnej, choręj sierotki.

PANNA BARBARA.

Więc wytrzymasz wszystkie moje dziwactwa?

JADZIA.

Wszystko, wszystko wytrzymam.

PANNA BARBARA (zrzuca szafirowe okulary, chwyta Jadzię w objęcia, wołając).

Ale ja już dłużej nie wytrzymam, dość tęj komedyi, przegrałam zakład.

ADAŚ (ze zdziwieniem).

Zakład, cóż to znaczy?

PANNA BARBARA (do Jadzi, nie zważając na niego).

Cóż to za kochane, nieocenione dziewczętko z ciebie, moja Jadziu miła. (patrzy na nią z czułością, trzymając ją ciągle w objęciu). Ale cóż dziwnego, toż to istny obraz mojęj ukochanęj Alinki. (obraća się do Adasia). I wyście uwierzyli, że

matka wam tu nasłala taką straszną czarownicę, takiego potwora? cha, cha, cha! Ale cóż wy znów teraz myślicie sobie o mnie? gotowicie pomyśleć, że mam bzika. A Jadzia gotowa mnie znosić nawet i z bzikiem, nieprawdaż? (ścisła ją znowu).

JADZIA.

To pani to wszystko udawała? a ja się dałam w pole wyprowadzić.

ADAŚ.

I ja także, a to był jakiś zakład. To pani nie jest dziwaczką i nieżnośną?

PANNA BARBARA (śmiejąc się).

To się dopiero pokaże, jak się bliżej poznamy; w każdym razie nie taką, jak ta strasza sekutnica, zręda, cha, cha, cha! Że też ja mogłam takiego koczkodana z siebie zrobić. Gdyby nie te szafirowe okulary, byłibyście mi prawdę z oczu wyczytali. Ale poczekajcie, (wyjmuje list z kieszeni) ten list wam wszystko wyjaśni; czytaj, Jadziu.

JADZIA (bierze podany list).

To pismo mamy (czyta) „Moja droga Basiu! Że też to z ciebie i dziś taki pustak, jak za dawnych pensjonarskich czasów. Dobrze, gotowa jestem z tobą się założyć, ale pamiętaj o warunkach. Spisuję je tu dokładnie. Chcesz koniecznie urządzić figla moim dzieciom na powitanie, potrafisz, jak utrzymujesz, tak im dokuczyć w niespełna godzinę, udając dziwaczkę nieżnośną, że zechcą się ciebie z domu pozbyć i do mnie o ratunek wołać będą. A ja znów pewna jestem, że Jadzia tego nie zrobi, żebyś jęj nawet nie wiem jak dokuczyła. Tyle jęj opowiadałam o tobie, o twojój dla mnie dobroci i poświęceniu na pensyi, że Jadzia ciebie już kocha nieznaną i kochać nie przestanie, choćbyś się naprawdę przemieniła dziś w jakąś sekutnicę. Za Adasia nie ręczę”.

ADAŚ.

Gdzie ja też miałem rozum, żeby w tę komedię uwierzyć!

PANNA BARBARA.

A zna mama dobrze swego synka, ręczyć za niego nie chciała. Oj ty, rycerzu (ścisła go).

JADZIA (czyta dalej).

„Jeżeli Jadzia straci cierpliwość, to będziesz wolna i po powrocie naszym do domu, zrobisz z sobą, co zechcesz. Ale jeżeli wytrwa, to porzucisz niepotrzebne skrupuły i zostaniesz choć na parę lat z nami, póki nie dokończysz wychowania Jadzi, bo nauczycielka jęj, panna Walerya, i tak zaraz po naszym powrocie z Cieplic miała powrócić do rodziny, z powodu słabego zdrowia”.

PANNA BARBARA.

Tu muszę dodać słówko wyjaśnienia. Mama wasza, widząc, że nie przyjęłam jeszcze żadnego miejsca, zaczęła mię namawiać, abym się zajęła wychowaniem Jadzi. Ja zgodzić się nie chciałam, utrzymując, że lepiej mieć nauczycielkę zupełnie obcą, bo ze mną, z powodu tych jakichś urojonych obowiązków wdzięczności, mama nosiłaby się zawsze zbytnią delikatnością; bo przecież nie zna mię taką, jaką dziś jestem, więc mogę jęj nie zadowolnić, jako nauczycielka. Otóż teraz, gdy ten zakład przegrała...

JADZIA (z radością).

Zostanie pani z nami! o, co za szczęście! a ja tak się obawiałam nowój, obcej nauczycielki po pannie Waleryi.

PANNA BARBARA.

A dziwaczki, sekutnicy, zrędy w mojej osobie się już nie obawiasz?

JADZIA (rzucając się w jęj objęcia).

Ani troszkę! Ja doprawdy musiałam mieć chyba jakieś niewyraźne przecucie, że pani nie może być naprawdę taka, bo ani na chwilę nie przestałam pani kochać. O, bo ja panią oddawna już kochałam nieznaną.

PANNA BARBARA.

Jakto, nawet gdy ci ulubione książki wydarła? i wten czas mnie kochałaś?

JADZIA.

Znacznie mniej co prawda, niż teraz, ale zawsze kochałam w pani, nie tę fałszywą pannę Barbarę, ale dawną maminią Basię, o tój zapomnieć nie mogłam.

ADAŚ.

Ja tego nie mogę o sobie powiedzieć; o wszystkiém zapomniałem...

PANNA BARBARA.

I niecierpiełaś mnie na dobre?

ADAŚ..

Ale jak ja panią za to teraz będę kochał. Nauczycielka, co umie studenckie figle urządzać tak wybornie! A to fenomen, to skarb nieoceniony.

JADZIA.

O, będziemy tu wszyscy panią kochali.

PANNA BARBARA.

Dobre, pocziwie dzieci; jaka ja tu będę szczęśliwa z wami.

ADAŚ.

Tymczasem chodźmy na obiad. Teraz już pani pozwoli nam jeść kompoty i leguminy? a pasternaku nie będziemy jedli?

PANNA BARBARA (śmiejąc się).

Przyznam się wam otwarcie, że nadzwyczaj lubię słodycze, dla tego też ten sposób dokuczenia wam wybrałam; a pasternaku od dzieciństwa cierpieć nie mogłam. No, chodźmyż na obiad.

Kurtyna spada.

KRÓLEWICZ-TULACZ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

— Tak, wiedza daje siłę, to prawda, ale któż tobie tę prawdę powiedział? — szepnął raczej do siebie, niż do chłopca, który też milczał, nie słysząc zapytania niby, a tymczasem zakonnik wyraźniej trochę mówił, zawsze z cicha:

— Dobrze zatem, nasz zakon we zwyczaju ma dawać tę siłę młodzieży, lecz gdy ty ją posiadasz, jakże jęj użyjesz?

Gustaw podniósł głowę tak żywym ruchem, że aż pukle włosów w tył mu odleciały, i pełnym dumy wzrokiem strzelił w oczy księdza, ale usta zacisnął gwałtownie, aby nie wybiegła z nich odpowiedź:

— Zdobędę tron mojego ojca! — Nie wymówił tych słów chłopiec ostrożny, lecz musiały one chyba w oczach się jego malować, gdyż zakonnik cofnął się, uderzony oczu tych wyrazem, zdjął rękę z jego ramienia i rzekł, skłaniając głowę z lekka:

— Jutro z rana przyjdź do klasztoru naszego!... będziesz miał siłę! — Żywym i nieznacznym gestem pożegnawszy kłaniającego się głęboko Walda, wyszedł ksiądz z jego izby i z domu.

Nazajutrz z rana kupiec zawezwał znów Gustawa do owej bezpieczniejszej ku rozmowie bokówki, i wkładając mu do ręki trochę pieniędzy, rzekł:

— Oto zapłata za czas służby twęj u mnie, jaką płacę wszystkim moim chłopakom sklepowym. Ja zobowiązałem się tylko zawieźć cię do Brunsbergi, tedy pamiętaj, iżem zobowiązania dotrzymał uczciwie! i dosyć na tém; idź z Bogiem a pomnij, że mowa bywa czasem srebrna, ale milczenie jest zawsze szczerzote! — i to powiedziawszy, Wald gestami przychylnemi wprowadził i klepaniem przyjacielskiem w ramię, dawał przecież wyraźnie do zrozumienia chłopcu, aby się wynosił z jego domu.

— Panie Waldzie! słowo jeszcze! — szepnął Gustaw drżący — powiedz mi tylko słowo to, o które cię tyle razy prosiłem; powiedz miano człowieka tego, który mię przyprowadził na twój okręt! — Gustaw błagał o to po raz Bóg wie który, składając ręce, jak do modlitwy, pewny był, że gdyby wiedział miano mniemanego sługi swego ojca, wiedziałby wszystko.

— Chłopcze! jeżeli ci życie miłe, niech ja po raz ostatni słyszę o tym człowieku, którego znam tyle, co ciebie, i o tobie, którego znam tyle, co jego! — zawołał pan Wald, wstrząsając rękami, jakby z nich niebezpieczne otrząsał znajomości, i drzwi trochę otworzył, nie wiedząc sam, co ze sobą i z chłopcem zrobić, bo nie śmiał kazać mu iść precz po prostu, jakby postąpił z innym. Ale i tego było nadto dla chłopca, z którym miał do czynienia. Gustaw, przez chwilę pokorny i serdeczny, dopóki koniecznie wmawiał w siebie, że i Wald, jak ów pierwszy nieznajomy jego protektor, jest mu tajemnie przychylnym, może jest także wiernym sługą ojca, teraz nagle pojął, że kupiec chce go się pozbyć i nic więcej. Chłopak podniósł głowę z dumą i ciskając na stół dane mu przed chwilą pieniądze:

— Myliłem się więc? — rzekł — ty nie jesteś jednym z moich wiernych?... Jeżeli tak, to weź proszę za przewiezienie mię na twym okręcie te pieniądze, które, jak mówisz, zarobiłem u ciebie i bądź spokojny, mam nadzieję, że usłyszysz jeszcze o mnie, lecz naprzykrzać ci się moją obecnością nie będę więcej nigdy!

I z temi słowy wyszedł chłopak z mieszkania z taką wrodzoną dumą powagą, że odurzony nią kupiec uklonił się nisko przed swym sklepowym chłopakiem, sam nie wiedząc, co czyni, a potem nagle, schwyciwszy się za głowę, pożałował, że obraził jakąś znakomitą osobę; nareszcie znowu kłąć zaczął swoją podróż na norweskie wybrzeże, która go w niepojętą tarapatę wciągnęła...

V.

Królewicz stajennym.

Gustaw stanął wkrótce w obec trzech zakonników, zebranych w celi wczorajszego jego znajomego ojca Buoni. Byli już o chłopcu powiadomieni, przypatrzyli mu się uważnie, wyegzaminowali go najprzód z naukowego przygotowania, a potem, zadawszy kilka zręcznych pytań co do przeszłości, zamienili między sobą znaczące spojrzenia, spostrzegając wyraźnie, że chłopak bardzo sprytnie wymija te pytania i nie chce mówić prawdy. Utwierdziło ich to w podejrzeniu, że mają do czynienia z niepospolitego rodu chłopięciem, pod opieką kupca Walda ukrytym. Nie chcieli wchodzić w drogę Waldowi, ani przypuszczali, żeby nie dbał o mniemanego wychowanka, przeto ojciec Buoni, po krótkiej naradzie z towarzyszącymi, rzekł do Gustawa:

— Synu mój! będziesz tu przychodził codziennie na naukę, co tylko zdołamy uczynić dla rozwinięcia twych zdolności, to uczynimy: zdobędziesz tę siłę wiedzy, której pragniesz, a gdy ją zdobędziesz, wtedy, synu, pamiętaj, gdzie ją zdobyłeś!... A teraz pójdźmy do szkoły.

I sam ojciec Buoni zaprowadził nowego ucznia do ogromnej sali, gdzie było już liczne grono uczniów dawniejszych. Nauka rozpoczęła się natychmiast, gdyż miał lekcję o tej porze sam ojciec Buoni. Część dnia minęła, jak jedna chwila, Gustaw pochłaniał wyrazy nauczycieli, nie spuszczał z nich wzroku, aby myśl czytać z ich oczu. W czasie odpoczynku, uczniowie jedni porozbiegali się do domów swoich, inni, siadłszy w dziedzińcu kolegium, posilali się skromnymi zapsami, poczem wszyscy wrócili do szkoły. Wrócił i Gustaw, spędziwszy chwilę spoczynku na gorliwym pisaniu liter na piasku, takich, jakie ksiądz kredą pisał na tablicy przy lekcji.

To pisanie na białym piasku było własnym pomysłem Gustawa i ściągnęło uwagę współuczniów, daleko starsi i dawniejsi obpatrzyli go, przypatrując się, jak coraz wprawniej i pewniej dokonywał tego, nad czem nikt z nich od dawniejszego czasu się moził. Ta skupiona a cicha gromadka w rogu dziedzińca zwróciła prędko uwagę kilku młodych,

szczupłych nauczycieli zakonników, przechadzających się także wśród uczniów. Nauczyciele przystąpili, spojrzeli i nie mogli zataić zdziwienia na widok tego, co uczeń kilkogodzinny skorzystał z nauki.

— Chłopcze, kto ciebie uczył pisać tak na piasku, nim tu do nas dziś przyszedłeś? — zapytał żwawo jeden młodziutki zakonnik, chwytając za ramię Gustawa.

— Pisanie nie widziałem nigdy do dzisiaj, tylko litery do czytania pokazał mi na swojej księdze kupiec Wald — odrzekł chłopczyzna, patrząc z upodobaniem na zakonnika nauczyciela, który zaledwo o kilka lat starszym był od niego, gdyż ze znakomitej pochodzącej rodziny, wcześniej przeznaczony do zakonu i uczony umyślnie ku temu, zyskał w ten sposób wielce na czasie.

— Ho ho! jak się zajmuje Stanisław swymi uczniami! — mówili starsi, lecz mniej zdolni lub mniej znamienici nauczyciele, patrząc na młodziutkiego Stanisława, zajętego Gustawem. A wtém, ujrawszy wchodzących na dziedziniec kilku starszych zakonników, Stanisław żywo zwrócił się ku nim:

— Wielebny rektorze! — zawołał — patrz, ten dziś przybyły uczeń ma jakieś nadzwyczajne zdolności! on z jednej lekcji pojmuje całą naukę pisania i odrazu zastosowuje ją, jakby był nauczycielem sam, nie zaś uczniem; w tym chłopcu są nadzwyczajne jakieś zdolności, trzeba się nim zająć!...

— Owszem, zajmij się nim, Stanisławie — półgłosem odpowiedział rektor, a ciszej jeszcze dodał — lecz strzeż się obudzać w nim nędną pychę, która nigdy jeszcze nie dobrze go nie sprawiła; już my wiemy o nim, pomagaj mu.

Stanisław zarumieniał się mocno i głęboko pochylił przed idącymi starszymi, łatwo uznał, że mieli słuszość. Ale wszystkie te rozmowy, zdumienia, okrzyki, nie uszły wzroku bystrego Gustawa. Zrozumiał je. Był to dzień jego dumy i zwycięstwa na umysłowym polu, taki, jakich poprzednio wiele bywało na skałach i morzu, gdzie zawsze i wszędzie mały znajdą Gustaw przodował dzieciom rybackim. To był dzień tryumfu.

Tak przeszły chwile spoczynku, a potem znów nastąpiły godziny nauki, i nareszcie rozeszli się chłopcy z klasy. Szli na nocny spoczynek do rodzicielskich lub krewieńskich domów, do gospód, niektórzy pozostawali w gmachu jezuickim. Gustaw bez wahania wyszedł z innymi za bramy zakładu. Tu dopiero, gdy inni skierowali się w różne strony, przyszło i jemu na myśl pytanie: „Gdzie pójść?”

Jezuici przekonani, że pan Wald, kupiec zamożny, nie wyrzekłby się wychowanka za nic w świecie, nie próbowali mu go odbierać i dla tego ani wspomnieli o umieszczeniu go zupełnym u siebie w kolegium, jak z innymi uczniami bywało. Pan Wald zaś pragnął tylko nie widzieć więcej chłopaka, narzuconego mu przez okoliczności. Gustaw nie bardzo rozumiał, ale doskonale czuł jedno i drugie, i wyszedłszy za bramę, gotów był raczej umrzeć na miejscu, niż wrócić do domu kupca. A przecież teraz, gdy zapadł do nauki, podtrzymujący go przez dzień cały, przeminął, Gustaw uczuł zmęczenie i głód. Jedno i drugie było jednak dobrze znane rybackiemu chłopcu, a twarde skały, na których się wychował, zahartowały go snadź na twarde życie.

Zamiast roztkliwiać się nad sobą, Gustaw stanął i wodząc oczyma po ruchliwej ulicy handlowego miasta, zapytał sam siebie: kto tu mógłby potrzebować pary rąk młodych, lecz wytrwałych w pracy, za dach i kawałek chleba? Czy jego padły niechęcy na pobliską gospodę, o bramach szeroko rozwartych, pełnych ludzi i koni, prowadzonych na nocleg. Gustaw bez namysłu wszedł do gospody i do ogromnej stajni.

— Czy nie przydałbym się tu do posługi koło koni? — zapytał głośno i spokojnie, i na przychylną odpowiedź, zabrał się natychmiast do czyszczenia koni i stajni. Jakies wrodzone uczucie mówiło mu, że zajęcie około rycerskiego towarzysza, jakim jest koń, nie ubliża nikomu. Takież samo uczucie mówiło mu tegoż poranku, że przyjąć pieniądze od człowieka, który wypędzał go z domu swego, byłoby dla wypędnionego zniewagą. Odtąd upływały Gustawowi miesiące na nauce

gorliwie po całych dniach u księży Jezuitów, a na ciężkiej pracy czyszczenia koni i stajen po nocach. Za tę nową pracę miał pożywienie w gospodzie i kąt do zdrzemnięcia się w stajni. Tylko siły, na morskich nawałnicach spotężniałe wśród skał norweskich, były w stanie sprostać takim wysileniom. Nauka szła dobrze, nauczyciele z coraz wyraźniejszym zajęciem śledzili postępy ucznia wyjątkowego, pokrywając zdziwienie z trudnością, aby go w zbytęzną zarozumiałość nie wbić. Ojciec Buoni, dumny ze swego protegowanego, nieraz ostrożnie zaczepiał go na osobności zapytaniem o przeszłość, lecz nigdy nie mógł zajrzeć do zamkniętego serca ucznia. „Milcz, jeżeli ci życie miłe” brzmiało ciągle w uszach Gustawa:

— Gdy zdobędę siłę wiedzy, wtedy zacznę działać i mówić, tymczasem zdobywać ją muszę, zdobywać wszystkimi siłami! — myślał chłopak i uczył się z zapałem, dochodzącym do szału nieledwie. Aby zyskać na czasie, Gustaw wyuczał się niektórych lekcji w nocy, dopełniając jednocześnie zajęć swych mechanicznych, które go żywiły. Tak raz w nocy zajęty był właśnie przy świetle latarni, u stropu stajni zawieszonęj, łopatą zgarniał i wynosił mierzwę z pod koni, powtarzając głośno zadania łacińskie, jakich wyuczyć się miał na dzień jutrzejszy. Wtém odgłos kopyt końskich i turkot wozu dał się słyszeć, w chwilę później podróżni jacyś zajechali do gospody, ale Gustaw nie zważał na to, śpiesząc ze swą podwójną robotą; stajnia, w której pracował, była już zajęta, nowoprzybywający nie obchodzili go więc, gospodarz i starszy sługa zajęli się nimi.

(d. c. n.).

GÓRAL.

— Wróć się, strzelcze! zejdz z wyżyny,
Nie pni się na szczyty skał,
Raczej wyrzec się zwierzyny,
Którą celny zmiotł twój strzał!

Czy nie widzisz zawieruchy,
Jaka zrywa się wśród chmur?
Bo ja niecę górskie duchy,
Aby wygnać cię z swych gór!...

Czy nie słyszysz ty chichotu,
I na szczytach, i na dnach,
Dzikich jęków i łoskotu,
Jakby w piekle, albo w snach?...

Czy nie bije tobie serce,
Podwojoném biciem tak,
Jak to górskich tajni wdzierce
Za śmiertelny mają znak?...

Nic nie widzi, nic nie słyszy,
Jakby go opętał czar,
Nic prócz łupu, co tam dyszy,
Jego strzałem strącon w jar...

Orle siły, nie junacze,
I odwagi śnać wziął chrzest;
Na bok druhy!... on w jar skacze,
Wszak on górski strzelec jest!

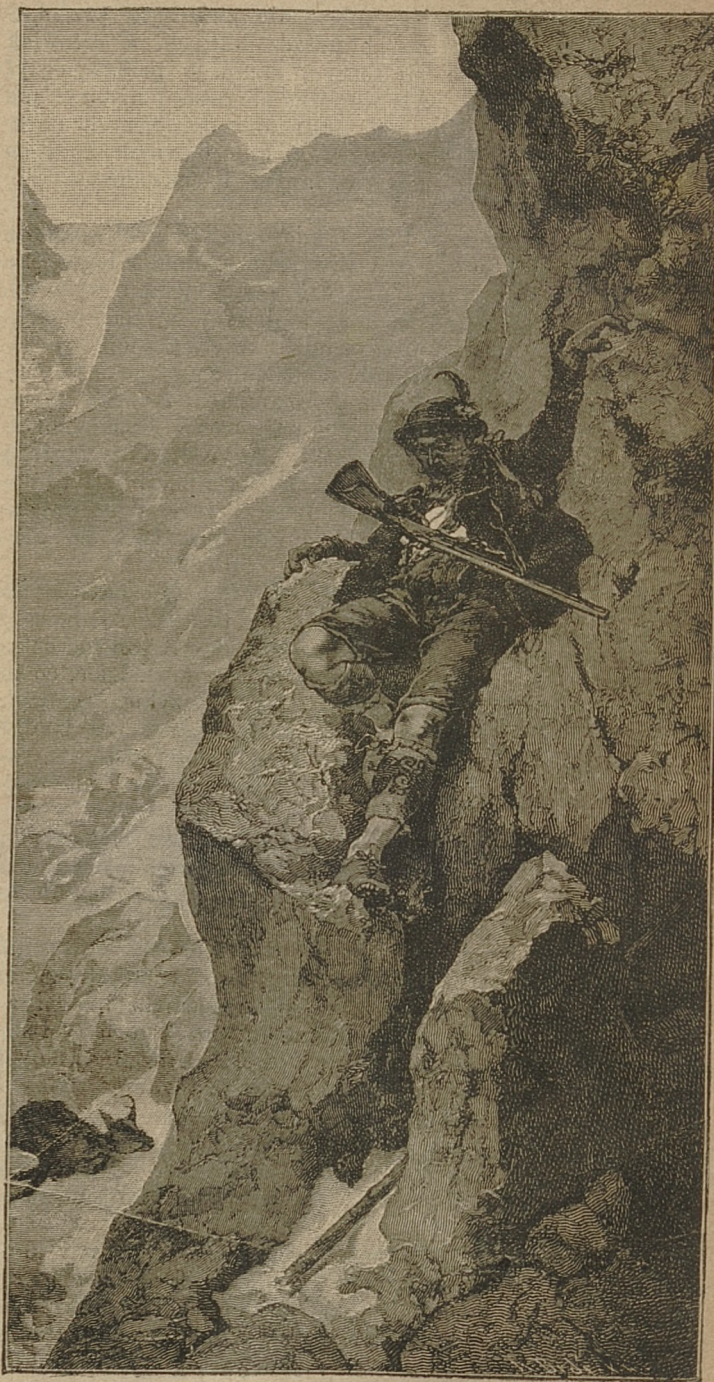
(Znana jest odwaga górali, uganiających się za zdobyczą po najwyższych szczytach gór rodzinnych, otoczonych jak wiadomo mnóstwem zabobonów, jakiemi przystroiła je fantazja ludu. W szalasach, przy ogniskach, w chwilach spoczynku, najulubiejszą rozrywką górali są bajki o duchach, broniących śmiałkom przystępu do tajemniczych ustroin górskich: nasza rycina przedstawia jednego z takich licznych imiałych strzelców, bohaterów ludowych baśni.

Azet.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO. PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Lecz długie wieki nie wywarły żadnego wpływu na obyczaje niedźwiedzia, zajął też opuszczoną przez człowieka ja-



Góral.

skinią i dotąd potomstwo jego w tém schronieniu życie pędzi.
— Jakto — rzekł Karol, który słuchał ciekawie tego opowiadania ojca Anzelma — czyż w tych dzikich puszczech byli już jacyś ludzie przed nami?

— Musieli tu nawet mieszkać stale, sądząc ze śladów, które pozostawili po sobie. W Ameryce, tak samo jak i w Europie, wykryto dowody, że w czasach niezmiernie dawnych, gdy jeszcze żyły zwierzęta, dziś zaginione, i ludzie mieszkali w tych samych okolicach. Byli to ludzie dzicy, podobni do

tych, którzy i dziś opierają się cywilizacji, mieszkali w podziemnych pieczarach, nie znali metali, a broń robili sobie z kości, krzemienia i innych twardych kamyków, zwłaszcza wulkanicznego pochodzenia.

— Ciekawym bardzo — zapytał Karol — czy ci starożytni ludzie podobni byli do naszych Indyan, do Minna i Wampy? boć to musieli być ich przodkowie.

— Trudno to odgadnąć — odrzekł kapłan — to tylko pewna, że Europa, równie jak i Ameryka, była już zaludniona w dawniej epoce, zwaną czwartorzędową; lądy miały jeszcze wówczas odmienne kształty, olbrzymie zwierzęta przechadzały się wśród niezmiernych puszczy leśnych, a człowiek musiał ciężką walkę z nimi toczyć, zanim je przewyciężył i stał się panem ziemi. Ale wówczas nie pisano historii, nie wiemy więc, czy ci ludzie byli praojcami dzisiejszych narodów, czy też ród ich zaginał wraz z tym dawnym światem zwierzęcym, ustępując miejsca innym koczowniczym plemionom.

Zapalono pochodnie, Paweł, misjonarz i Karol weszli do pieczary. Zaduch tu był straszliwy, szczególnie z legowiska niedźwiedzia wydobywały się bardzo nieprzyjemne wyziewy. W głębi, pod kamienną ścianą, wędrowcy ujrzeli barłóg, usłany wysoko z liści i trawy, gdzie zwierzę zapewne przespał całą zimę. Obeszli dokoła podziemie, mające sześć metrów długości i trzy szerokości, potem ojciec Anzelm poruszył ziemię motyką i znalazł w niej parę kości ludzkich. Odgrzebał takie ostrza strzał, szczątki naczyń glinianych, dużą kość zwierzęcą, wyraźnie ręką ludzką obrobioną; były to dowody niezbite, że tu przebywali niegdyś troglodyci, mieszkańcy jaskiń, takie jest bowiem dosłowne znaczenie tej greckiej nazwy.

Gdy ojciec Anzelm wyniósł te zdobycze na światło dzienne, Indianie najmniejszej uwagi na to nie zwrócili, a i Tomasz nie okazał zbytnej ciekawości, tylko Karol nie ustawał w pytaniach. Chciał on koniecznie się dowiedzieć, co to byli za jedni ci mieszkańcy jaskiń, jakim językiem mówili, jak się ubierali, co robili. Lecz żaden badacz nie zdołał jeszcze zdrzeć tajemniczej zasłony z tej zamierzchłej starożytności, którą też z tego powodu nazywają epoką przedhistoryczną.

Misjonarz nie mógł więc zadowolnić jego ciekawości, opowiedział mu jednak dużo szczegółów z życia tych ludzi pierwotnych, które odgadnięto z licznych wykopalisk europejskich i amerykańskich.

Musieli oni walczyć z różnymi zwierzętami, które już dziś nie istnieją w tych okolicach, lub nawet i na całej ziemi wyginęły, z mamutem, nosorożcem, niedźwiedziem i lwem jaskiniowym, a wszystkie te drapieżne istoty większe były i silniejsze od teraźniejszych. Gdy ojciec Anzelm mówił o zaginionych zwierzętach, i Tomasz słuchać zaczął, zdziwił się też niepomału wiadomością, że konie, które nie istniały wcale w Ameryce, gdy ją Kolumb odkrył i dopiero przez Europejczyków wprowadzone zostały, znajdowane są jednak w wykopaliskach tej ziemi wraz ze szczątkami innych zwierząt zaginionych.

Poszukiwania te tyle czasu zabrały, że wędrowcy musieli zanoćować w tej spokojnej kotłince. Tomasz i Karol z pomocą dwóch Indyan odciągnęli dalej ścierwo niedźwiedzia, wydające woń bardzo przykłą. Kanadyjczyk żałował niezmiernie, że nie mógł zabrać pięknego jego futra, które wedle jego obliczeń warte było kilkaset franków.

Po obiedzie, złożonym z pieczeni niedźwiedziej, miał być znów bifiks z niedźwiedzia na podwieczorek. Tomasz chciał jednak urozmaicić nieco zapasy śpiżniane i postanowił zapolować, bo spodziewał się napotkać w tych gęszczach gołębie przegowane, zwane w klasyfikacji naukowej *columba fasciata*; ptaki te są dość pospolite w dolinie Arkaansasu. Wspominał o tym Karolowi, a ten miał wielką ochotę mu towarzyszyć.

— Lubię ja bardzo widzieć cię przy sobie — rzekł Kanadyjczyk — ale gołębie mają słuch niezmiernie czujny, a ty nie umiesz milczeć, więc mi spłoszysz zwierzyne niezawodnie.

— Mój Tomasz, za co ty mnie masz? czy sądzisz, że ja już nie potrafię się wstrzymać, jeśli tego będzie potrzeba? Zobaczysz, zamilknę, jak ryba.

— To nie dosyć zamilknąć, na polowaniu trzeba umieć chodzić cicho, patrzeć ciągle pod nogi, żeby najlżejszego nie sprawić szelestu, nie stąpić na suchą gałąź, nawet trawy nie poruszyć; iść wolno, a nie biegać na wszystkie strony, jak swa wolna wiewiórka i strzelając, mierzyć dobrze, żeby nie spłdować i darmo nie marnować naboju, bo nie prędko będziemy mogli odnowić zapasy amunicji.

— Zgoda, mój Tomasz, jak tylko wejdziemy w te gęszcze, zamykam usta i pary z nich nie wypuszczam. Co do strzałów, od tych się chętnie powstrzymam, ten jeden mi wystarczy aż nadto, nie powiesz przecież, że nie był celny. Ale skoro już o tём mowa, wiesz, przyjacielu, co mi przyszło do głowy; myślę sobie, jak też to różnie się składa na tym świecie. W bajce na przykład ktoś tam sprzedawał skórę niedźwiedzia, zanim go zabił, a ja tej sprzedać nie mogę nawet po zabiciu. To mi los! — mówiąc to, Karol rozśmiał się na głos, Tomasz spojrzał na niego znacząco.

— A, rozumiem — rzekł niepoprawny Paryżanin — nie powinienem śmiać się głośno. Ale bądź spokojny, za chwilę śmiać się przestanę, będę się tylko uśmiechał, ot tak — i wykrzywił się tak ucieszenie, że i Tomasz nie mógł powstrzymać się od śmiechu, lecz śmiech to był odmienny, cichy, przygluszony, właściwy mieszkańcom puszczy amerykańskich.

— Osobliwym sposobem śmiejiesz się, mój Tomasz — zawołał Karol — my w Paryżu nie mamy zwyczaju ukrywać się ze śmiechem, a ty go dusisz w sobie tak dziwnie. Muszę i ja się tego nauczyć, skoro tu jestem na waszej półkuli. A teraz w drogę, Tomasz.

Dwaj myśliwi odeszli na bok, a Karol, dotrzymując słowa towarzyszowi, nie odzywał się wcale i stapał z nadzwyczajną ostrożnością. Nie upłynął i kwadrans, gdy Kanadyjczyk zatrzymał się nagle i biorąc strzelbę do ręki, bacznie nasłuchiwać począł.

Karol zacisnął zęby, tylko milczącymi znakami starał się dać poznać Tomaszowi, że nic a nic nie słyszy i nie widzi, dotykał więc wymownym gestem uszu i oczu. Tamten jednak nie zważał na niego, postąpił jeszcze parę kroków, stanął i wymierzył. Karol podniósł głowę i szyję wyciągnął, darmo jednak wyteżonym wzrokiem patrzył na wierzchołek drzewa, do którego Tomasz celował, nie mógł tam nic dojrzeć. Po dobrej chwili dopiero obaczył ptaka barwy kasztanowatej i usłyszał gruchanie. Tomasz jednak nie strzelał, stał ciągle nieruchomy, z końcem swjej lufy zwróconym prosto do ptaka. Zadziwiony tём szczególnym postępowaniem, Karol potrzebował wielkiej mocy nad sobą, aby się nie odezwać i byłby się może dłużej nie powstrzymał, gdy wtém strzał przeszył powietrze i gołąb, zlatując z jednej gałęzi na drugą, padł prawie u nóg jego na ziemię. Tomasz nabił najpierw strzelbę na nowo, a potem dopiero podniósł ptaka i rzekł:

— Pamiętaj o tём, przyjacielu, że na polowaniu nigdy się spieszyć nie potrzeba.

Karol jednak i teraz jeszcze nie śmiał ust otworzyć, tylko ko dziwnymi znakami usiłował myśl jakąś wyrazić.

— Czegoż chcesz? — zawołał Tomasz — gadaj.

— Biorę na świadków te drzewa — rzekł Karol uroczyście — że sam mnie upoważniłeś do przerwania milczenia. Chciałem ci powiedzieć, że nie pojmuję, dla czego tak długo celowałeś i co ci ztąd przyjść mogło?

— Co mi ztąd przyszło? ubiłem parę gołębi, zamiast jednego — i mówiąc to, podniósł drugiego ptaka, leżącego na ziemi dalej nieco.

Karol uklonił się przed nim aż do ziemi.

— Na drugi raz — rzekł — muszę poprobać, a może mi się uda zastrzelić dwa niedźwiedzie naraz.

Pieczyste z gołębi smakowało wybornie misjonarzowi i Pawłowi, a i Karol się niemi także uraczył, bo mięso niedźwiedzia nie bardzo mu się podobało, chociaż Tomasz i dwaj Indianie zajadali je, jak najwyszukańszy przysmak. Gdy zmrok zapadać zaczął, rozpalono ognisko przed obozem. Jeżeli niedźwiedź żyje samotnie w swém legowisku, nie idzie

tem, aby nie miał sąsiadów swojego rodzaju w pobliżu. Jest on prawdziwie zwierzęciem przeważnie roślinożernym, żywi się awą, ziarnem, owocami, lecz przyciśnięty głodem, staje się rapieżnym i mięsożernym, żartować więc z nim nie można.

Uradzono nawet, aby dla bezpieczeństwa urządzić straż oną; wędrowcy mieli czuwać kolejno, a na początek stanął straży Indyanin Minno. Wdrapał się na szczyt skały, do rzej obóz przytykał i siedział tam nieruchomo przez dwie godziny, potem przebudził Wampę, a ten zupełnie tak samo się sprawił. Młodzieniec nie mógł siedzieć tak spokojnie na ednem miejscu, wkrótce więc zszedł ze skały i stanął, wsparty o pień drzewa. Rozliczne myśli przesuwaly się przed oczyma jego duszy, przypominał sobie z gorzkością, ile przykrości łożna od ludzi, którzy mienili się przyjaciółmi jego ojca. On przecież ze swojej strony czynił dla nich wszelkie ustępstwa, gotów był nawet zająć w dziedzicznej swej posiadłości podrzędne stanowisko zarządzającego, zdawać najsumienniejsze rachunki z dochodów, składać je w całości w ręce wierzycieli, aż póki tym sposobem nie spłaci długów. O cóż więc szło tym ludziom, czyż lypoteka nie przedstawiała dostatecznej ewności? Niestety! aż nadto było widocznem, że spisek uknuto na niego, aby go wyzuc z majątku, skrzywdzić wdowę i sieroty, za bezcen zabrać jedną z najpiękniejszych posiadłości tej okolicy.

Potem myśl jego wybiegła naprzód, w przyszłość, nadzieja ożywiła jego serce, wszakże mu pozostało kilku wiernych przyjaciół. Najpierw pocziwy Tomasz, niegdyś towarzyszył zabaw jego dziecinnych, który dorósłszy, poświęcił się nsiłwstwu i zaopatrywał w zwierzynę dom jego ojca. Potem Minno, biedny Indyanin, uważany powszechnie za marzyciela lub oszusta, gdy opowiadał o bajecznych skarbach; Paweł jednak nie wątpił o prawdziwości słów jego, zaufał mu zupełnie i dotąd nie miał powodu tego żałować. Młodzieniec wyobrażał sobie, jak w końcu, przebywszy szczęśliwie trudy i niebezpieczeństwa długiej wędrowki, dojdzie do celu, stanie na wybrzeżu tej rzeki, kryjącej skarby nieobliczone na nurtach swoich, jak zaczerpnie z niej tyle złota, aby mógł zaspokoić wierzycieli ojca, odzyskać spuściznę po nim, a wdowie i sierotom zapewnić dostatek. O, jakże będzie szczęśliwy, gdy wreszcie dokaże tego, gdy odwagą, energią, wytrwałością, zwycięży losy zawistne, upokorzy wrogów.

O godzinie trzeciej po północy Paweł przebudził Karola, na niego teraz bowiem przypadała kolej czuwania. Paryżanin nasz przyzwyczaił się już do trudów podróży, zerwał się szybko, wziął strzelbę do ręki i zasiadł na szczycie skały, wy machując ciągle rękami i nogami, żeby go sen nie zmorzył. Oczy roztwierał szeroko, a jednak chwilami zdawało mu się, że cały ten fantastyczny krajobraz, który miał przed oczyma, to ognisko, rzucające dokoła błyski czerwone, ci dwaj Indianie w dziwnych strojach, uśpieni o kilka kroków od niego, że cała ta podróż jego wśród puszczy nieznanych, była snem tylko dziwnym i że on za chwilę przebudzi się w łóżku swoim na przedmieściu Paryża.

Bo czy to podobna, aby on, mieszcuch rodowity, ni ztąd ni zowąd znalazł się na drugiej półkuli, w kraju dzikich Czerwonoskórych, o których czytał nieraz zajmujące historie, ale czytał z takiem uczuciem, jakgdyby to były bajki z Tysiąca i jednej nocy. Nie bardzo jakoś dowierzał, aby podobne stworzenia, włóczące się po lasach nawpół obnażone, skalpujące blade twarze, mogły istnieć naprawdę na Bożym świecie, nie tylko na kartach powieści. On teraz nazywał się także twarzą bladą, kroczył wśród puszczy i stepów niezmierzonych, mógł co chwila napotkać i oglądać na własne oczy tygrysy, krokodyle, węże jadowite i dziwy przeróżne, widziane nieraz na rycinach w Paryżu. A napatrzwszy się tego wszystkiego, mógł dotrzeć razem z innymi do tej rzeki złotój, naczepać z niej tyle kosztownego kruszcza, ile tylko udźwignąć zdoła i powrócić bogatym człowiekiem do kraju. Rozumie się, jeśli mu się uda uniknąć niemiłego spotkania ze skalpującymi Indianami, a Tomasz ze zwykłą swoją zimną krwią wspominał o tem często, jako o rzeczy możliwej, a nawet dość prawdopodobnej. Gdyby nie to, wędrowka do rzeki złotój,

pomimo wszystkich trudów, byłaby arcyprzyjemną przechadzką.

Karol był synem stolarza; małym jeszcze chłopcem, uczęszczając do szkoły, zapoznał się z Pawłem, ten mu opowiadał, że ma rodzinę w Ameryce i zapewne tam kiedyś powróci. Malec słuchał z zachwytem, błagał Pawła, aby go zabrał z sobą i otrzymał od niego na to solenne przyrzeczenie. Od tej pory minęło lat dziesięć z okładem, dwaj towarzysze się rozstali, Paweł kończył wyższe nauki, Karol poszedł do warsztatu, widywali się jednak czasem, a gdy wiadomość o śmierci ojca zagnęła Pawła do śpiesznej podróży, Karol dowiedział się o tem i przybiegł mu przypomnieć dane słowo. Tamten dotrzymał chętnie, nie wątpił bowiem, że porządny stolarz przyda mu się w majątku, który po ojcu miał odziedziczyć, zabrał go więc na koszt własny i tym to sposobem młody rzemieślnik, nie chcąc się rozstawać z opiekunem swoim, znalazł się obecnie na wybrzeżach Arkansasu i brał udział w wyprawie po złote runo.

Karol zmartwił się szczerze przeciwnościami, które spotkały Pawła po przybyciu do Ameryki, w końcu jednak powiedział sobie, że wszystko to jeszcze na dobre wyjść może, jeżeli się dostaną do rzeki złotój. Nie był on chciwym, ale majątkiem nie gardził, niebezpieczeństw się nie obawiał, a wędrowka po kraju nieznany pociągała jego wyobraźnię, i ostatecznie rad był z takiego obrotu rzeczy. Dobry humor nie opuszczał go ani na chwilę, śmiał się i żartował ze wszystkiego, a gadatliwość swoją, jak widzieliśmy, bawił i dziwił towarzyszy.

Indyanin Minno odstręczał go trochę swoją powagą, obojętnością i grobowem milczeniem, wierzył jednak w jego roztropność i umiał cenić jego szczere przywiązanie do Pawła. Ale najserdeczniejszą przyjaźń powziął dla Tomasza, chociaż nie mógł się powstrzymać, aby z niego czasem nie pożartować. Tamten oddawał mu piękne za nadobne, zawsze jednak w końcu się pogodzili i pomimo tak odmiennych usposobień, przylgnęli obaj do siebie i byli nierozłączni. Co się tyczy Wampy, Karol uważał go za istotę podrzędną i najmniejszej uwagi na niego nie zwracał. Ojca Anzelma wędrowcy nasi spotkali przypadkowo u stóp gór Sugar-Loaf i zaprosili, aby się do nich przyłączył. Nieustraszonego ten sługa Boży puścił się w drogę sam jeden, bez broni, tylko z krzyżem w ręku, szukając wśród tych puszczy owieczek zbłąkanych, któreby mógł do owczarni Chrystusa doprowadzić. Wszyscy, począwszy od Pawła, otaczali go czcią należną i uszanowaniem zaczęto go kapłana.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

W „Przeglądzie Pedagogicznym” czasopiśmie, wychodzącem w Warszawie, przeznaczonem dla rodziców i nauczycieli, to jest dla osób trudniących się wychowaniem młodzieży, napotkaliśmy opowiadanie, które i naszym czytelnikom przydać się może, podajemy je tu bez żadnej zmiany:

Państwo R. przyzwyczaili dzieci swe od lat ich pachołgich do bezwarunkowej uległości swojej woli; kiedy zaś dwoje z nich doszło do tego wieku, że już mogły ocenić następstwa, wynikające z zachowania lub lekceważenia przepisów, pan R. nie dawał im rozkazu, lecz tylko radził, pozostawiając woli dziatwy zastosowanie się do udzielanej rady. Uważał, że w ten sposób najłatwiej je przyzwyczai do odpowiedzialności za swoje postępowanie. Na początku roku szkolnego radził dzieciom np., żeby odrabiały wszystkie lekcje piśmienne, nie w wilią dnia, na który przypadają, lecz zaraz tego samego dnia, w którym zostały zadane.

— Wszakże dobrze wiecie — mówił ojciec — że pomimo najlepszego rozkładu nauk, jednego dnia macie więcej do roboty, drugiego mniej. Otóż widzicie, jeśli posłuchacie mnie, nigdy obciążeni pracą nie będziecie, bo gdybyście w jednym dniu nie wykończyli wszystkich zadań piśmiennych, to możecie je wykończyć w następnym. Tym sposobem, ni-

gdy zbyt późno w nocy nie będziecie potrzebowali czuwać, czego, jak wiecie, bardzo nie lubię. Taki rozkład pracy przyniesie wam jeszcze większą korzyść, bo jeśli będziecie odrabiali lekcję w dniu, w którym ją zadano, to daleko łatwiej to wam przyjdzie, niż gdybyście nad nią pracowali w kilka dni później, gdyż w świeżej pamięci będziecie mieli to, o czém w klasie była mowa. Wreszcie jeśli się zastosujecie do moich uwag, to zawsze zostanie wam parę godzin czasu, które kiedyś, przy zdarzonej okoliczności, na zabawę obrócić będziecie mogli.

Z początku dzieci stosowały się do rady ojca, ale wkrótce jakoś czternastoletni Leos opuścił się. Nie zrobił wszystkich zadań świeżo wyłożonych, na drugi dzień nie miał czasu czy też chęci do załatwienia się z niemi, trzeciego myślał już tylko o bieżących lekcjach na dzień następny. Wreszcie, wyrozumował sobie, że wszystko jedno kiedy lekcye odrobi, byleby je umiał na dzień naznaczony. Ojciec nic o tćm nie wiedział i nie chciał wiedzieć, a przypuszczał, iż syn usłuchał rozsądnej jego rady i do niej w zupełności się stosuje. Pewnego dnia, pod koniec obiadu, rzekł ojciec wesoło:

— Oddawam przyrzekłem wam, iż pójdziecie na operę, dziś grają *Afrykanke*, którą tak dawno życzyliście sobie słyszeć. Kupiłem już bilety, bądźcie tylko w pogotowiu; o siódmiej przybędę do domu i zabiorę was z mamą do teatru.

— Ach! jak to dobrze — zawołała uradowana Zosia — jaki ojciec dobry! — to mówiąc powstała z krzesła, pobiegła do ojca i pocałowała go w rękę.

Zdziwił się pan R. iż Leos nie poszedł za przykładem Zosi, że nie okazał żadnych oznak radości.

— Cóż to, Leosiu — zagadnął ojciec — nie cieszysz się, że dziś masz usłyszeć *Afrykanke*, wszak nieraz mi mówiłeś, iż chciałbyś ją widzieć?

— Chciałbym ją widzieć — odrzekł półgłosem chłopiec — ale dziś mam bardzo wiele do roboty; muszę napisać wypracowanie polskie, zrobić kilka zadań algebraicznych, przetłumaczyć spory kawałek po łacinie i jeszcze wiele nauczyć się z ruskiego.

— No, to weź się tylko do lekcji pamięciowych, a wszystkie prace piśmienne odłóż na jutro. Jeśli jutro skrócisz sobie chwile wypoczynku i przysiedzisz, jak to mówią, fałdów, to nie tylko zrobisz to, coś powinien był dziś zrobić, ale załatwisz się i z tćm, co będziesz miał jutro do zrobienia.

— Tak — zawołał smutnie Leos — kiedy te wszystkie prace są zadane na jutro...

— No, to już twoja rzecz, wiesz, że zadania szkolne muszą być zrobione. Ja ci nie rozkazuję iść do teatru, możesz uczynić, co zechcesz.

— Mój ojcie, czyby nie można odłożyć teatru na inny dzień? — zapytał nieśmiało Leos.

— Nie, mój synu, w żaden sposób. *Afrykanke* rzadko grają, a przytćm, jak wiesz, kupiłem bilety.

Leos nie wiedział, co czynić. Miał wielką ochotę pójść do teatru, ale widział zupełne niepodobieństwo ukończenia pracy przed siódmą godziną. Długo nie mógł powziąć żadnego postanowienia i byłby bardzo rad, gdyby ojciec rozstrzygnął jego wanie się i albo kazał mu pójść na przedstawienie, albo pozostać w domu. Zosia wprawdzie namawiała braciszka, iżby poszedł na widowisko, lecz ojciec i matka, jakby naumyślnie, ani ust nie otwierali. Po półgodzinnej ze sobą walce, wreszcie Leos postanowił wybrać się do teatru; zabrał się do odrobienia lekcji, gdy wszakże siódma godzina uderzyła, zaledwie do połowy je ukończył. Kiedy ojciec się ukazał, odłożył lekcye na bok i z całą rodziną poszedł do teatru.

Widowisko było świetne i w innym razie Leos byłby się nićm zachwycił, ale teraz, mając ustawicznie na myśli niedokończone swe prace, połowy tylko doznawał przyjemności. Po powrocie do domu, siadł zaraz do stolika i pracował jeszcze kilka godzin, kiedy już wszyscy smacznie spali; za to naza-jutrz, z powodu długiego czuwania, bolała go głowa.

Upłynęło od tego czasu kilka tygodni, rodzice otrzymali niespodziewane zaproszenie na wieczór do znajomych.

— Cóż, Leosiu? — zapytał ojciec — chciałbym cić wziąć ze sobą do państwa X., jest tam dwóch synów w twoim wieku, miałbyś z kim się zabawić, nie wiem tylko, czy twoje lekcye pozwolą ci na to.

— Ach, pozwolą, kochany tatusiu! — zawołał radośnie Leos — nie jestem już tak nierozsądny, żebym miał odkładać pracę na ostatnią chwilę, teraz robię już tak, jak mi radziłeś....

Taki skutek wywarła ta jedna nauczka na Leosiu.

SZARADA H. Cz.).

*Pierwszą drugą w pisowni co krok spotykają,
Bez pierwszej trzeciej drzewa wysychają,
Drugie trzecie wśród nocy bezsennych się roją,
Niektórzy się ich nawet po troszeczkę boją.
Wszystkie są udręczeniem biednego człowieka,
Jednak pory przybycia ich niecierpliwie czeka.*

Łamigłówka zgłoskowa (Jarema).

Z następujących zgłosek: ca—des—e—frak—gar—gle—ko—kno—lont—mo—mos—ni—o—o—sa—sy—twi—ułożć wyrazy: 1. Wyspa Archipelagu. 2. Część domu. 3. Strój. 4. Gatunek psa. 5. Przyrząd używany na okrętach. 6. Przyrząd do zapalania armat. 7. Bohaterka poematu Syrokomli. 8. Poeta grecki, autor elegii. Pierwsze litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwisko sławnego autora tragedyi w Grecyi, końcowe w tym samym kierunku, sławnego filozofa greckiego.

Łamigłówka liczbowa (Dla Kazia od Łasiczki).

Z dziesięciu liter nazwisko znakomitej poetki polskiej, przedstawiając litery otrzymamy:

- 1, 10, 9, Chłopak niedorosły.
- 7, 6, 8, 9, Praca owadów.
- 4, 5, 3, 7, 10, Prowincya w Azji.
- 8, 6, 7, 10, Ptak.
- 10, 4, 5, Wykrzyknik.
- 2, 10, 9, Roślina.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Szarady:

Nie — zgo — da.

Łamigłówni zgłoskowej:

Wierzby. Inn. Ernani. Coraz. Zachód. Oko. Robr. Yukka. Różaniec. Oleśnicki. Don. Zatćm. Indye. Napój, Nora. Ernest.

Wieczory Rodzinne — Tajemnica Rodziny.

TREŚĆ: Krajobraz w Grecyi (z drzeworytem). — Panna Barbara komedyjka (dokończenie). — Królewicz tułacz, powieść przez M—a. — Góral, wiersz (z drzeworytem). — Wyprawa po złote runo, przygody podróżników. — Rozmaitości. — W Dodatku: Ptaki na północy (z drzeworytem). — Nie sądź z pozorów. — Nic nie ginie, wiersz p. Ludwika Niemojowskiego. — Nauczyciel w kłopotach (c. d.) — Dodatek książkowy: Prześladowanie, powieść z angielskiego naśladowana.

PTAKI NA PÓŁNOCY.

W dalekich krajach północnych, gdzie nieustanna jest zima, żyje mnóstwo ptaków, niepodobnych jednak wcale do naszych wróbelków, jaskółek, skowronków i innych. Te ptaki północne są wszystkie dość duże i pływają doskonale po wodzie, tak, jak nasze gęsi i kaczki. Ponieważ w zimnych krajach nie ma ani roślin żadnych, wydających ziarna, ani owadów, więc wodne te ptaki żywią się rybami i bardzo zręcznie je łowią, zanurzając się w wodzie.

Niema tam także i drzew, a ptaki muszą gniazda swoje urządzać na skałach nadbrzeżnych. Najczęściej wcale gniazd nie budują, tylko składają jaja w rozpadlinach skał, a w tym czasie, jak opowiadają podróżnicy, skały tak są całkowicie pokryte ptactwem, że wyglądają, jak wnętrza ulów, gdzie roje pszczoł pracują. Mnóstwo jaj spada i rozbija się na skałach, mnóstwo także zabierają mieszkający tamtejsi, Eskimosi, którzy się niemi żywią, a jednak ptactwa nie ubywa, zawsze ogromne stada unoszą się w powietrzu i obsiadają wybrzeża.

Najosobliwszym z tych północnych ptaków jest bezłotek, tak nazwany, bo ma skrzydła krótkie, latać niemi nie może i ciągle tylko pływa, a wyszedłszy na ląd, stoi na króciutkich, w tył wysuniętych nóżkach, tak zabawnie, że z daleka można go wziąć za małego człowieka. Ptaki te są bardzo niezgrabne na lądzie, a przytém i niezbyt roztropne, nie uciekają przed ludźmi, bo ich rzadko widują i dają się z łatwością kijem zabijać. Zwykle stają szeregiem, jak wojsko i osobiwszy przedstawiają widok. Jaja składają w jamkach, które grzebią w ziemi.

Bezłotki żyły dawniej bardzo licznie w podbiegunowych krajach północnych, na wybrzeżach Szpitzbergu, Nowej Ziemi i innych wysp morza lodowego, ale wyniszczono je prawie do szczytu i dziś widzieć je można tylko wypchane w gabinetach zoologicznych. Odmiennie gatunki bezłotków przebywają na półkuli południowej, na wyspach Wan-Diemen i na wybrzeżach Ziemi Ognistej.

Nie sądź z pozorów.

Dwie siostry, córki niezamożnego urzędnika, różniły się bardzo charakterem i każda inaczej sądziła o ludziach. Anusia, młodsza, jak tylko zobaczyła ubożego, z grzecznością największą dawała mu jałmużnę. A gdy spostrzegła, że ktoś w wieku potrzebuje pomocy, podawała swą rączkę, przepro-

wadziła, w kościele ustąpiła ławki dla każdej starszej osoby. Ludka zaś każdego sądziła z pozoru i lekceważyła wszystkich ubogo ukranych. Dziewczynki, bywając w Saskim ogrodzie z boną, codziennie widywały staruszkę, w staroświeckim kapeluszu, z daszkiem na oczach, zawsze w ciemnej, skromnej sukni, z małym pieskiem.

Miła twarz staruszki zwróciła uwagę Anusi i chodząc z nią na jednej ulicy, często z grzeczną usługą robiła przysługi, jako starszej i chorzej na oczy.

Pieska nieraz złapała, gdy wymknął się z tasiemką z rąk staruszki, to chustkę podniosła, gdy przypadkiem upadła i inne podobne drobne przysługi oddawała. Ludka zaś nie raz wyśmiewała się z kapelusza wiekowej pani, tak głośno, że ta mogła usłyszeć i nigdy żadnej grzeczności jej nie zrobiła.

Anusia i Ludka miały przeznaczone miesięcznie na małe wydatki od rodziców pieniądze. Anusia zbierała je skrzętnie, Ludka zaś wydawała na drobnostki. Przez całe lato zebrała Anusia kilka rubli, i pod jesień, nie mówiąc nic siostrze, ale za pozwoleniem mamy, kupiła kapelusz ciemny, ale przyzwoity dla staruszki, żeby ją uchronić przed żarcikami siostry, i pewnego dnia tak ułożyły się z Mamą, że Anusia z boną sama poszła do ogrodu, i z wielką uprzejmością ofiarowała staruszcze kapelusz.

Ona dar ten przyjęła z wielkim zdziwieniem i zaczęła wypytywać, co do tego skłoniło dziewczynkę. Anusia, nie umiając kłamać, zarumieniona, wyznała przyczynę, a mianowicie, że się śmieją niektórzy z kapelusza staruszki.

— Dowód to zacności twego serca — rzekła ta pani — Bóg cię będzie błogosławił w całym życiu, oceniając twe dobre chęci, dar przyjmuję i proszę cię z siostrą i boną, żebyście mnie odwiedziły.

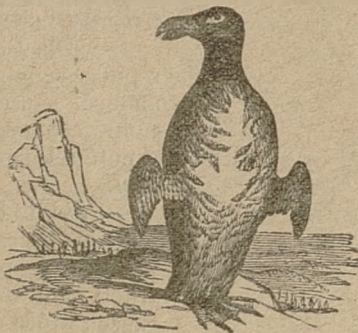
Na drugi dzień, kiedy była i Ludka w ogrodzie, tak serdecznie przemówiła staruszką, żeby ją odwiedziły, że Ludka przez ciekawość poszła razem z siostrą.

Zaprowadziła staruszką obie panienki z boną na Krakowskie Przedmieście, do wspólnego apartamentu, liczna służba w przedpokoju roztworzyła drzwi do sali, ozdobionej lustrami. Lustra te odbiły dwie postaci obydwóch panienek, Anusię rozweseloną, Ludkę zawstydzoną i zmieszaną.

Zastawiono stół rozmaitemi przysmakami, staruszką częstowała z gościnnością staropolską.

Taką to naukę otrzymała Ludka, żeby nigdy nie sądzić z pozorów i szanować starszych. Wyszły siostry zdziwione i przekonały się, że nie zawsze dostatki idą razem z zbytkami.

Anusia pozostała zawsze w jednakowych dobrych stosunkach z bogatą panią. Ludka zaś nie miała nigdy tej śmiało-



Bezlotek.

ści, chociaż ta jej wszystko przebaczyła. Anusia na każde święto, na imieniny, odbierała kosztowne podarunki. Napisało było na paczce „dla Anusi od starej przyjaciółki”.

C. Falkowska.

NIC NIE GINIE.

— O jak smutném, rzeknie dziecie
Do Mateczki — jest to życie!
Gdy do koła spojrzym tylko
Wszystko z jedną ginie chwilką,
Kwiat, co się wśród wiosny pełni,
Schnie i więdnie wśród jesieni,
Gaje i lasy zielone
Tracą swych liści koronę.
A słoneczka promień złoty
Gaśnie wśród nocnej ciemnoty,
Nawet człowiek, choć rozumny,
Nie uniknie w końcu trumny.
— O nie, drogie moje dziecie,
Nic nie ginie na tym świecie,
Bo twórcza istnienia władza
Z śmierci życie wyprowadza.
Gdy jesienne przyjdą szrony,
Marznie kwiat chłodem zwarzony,
Lecz ukryte w gruncie skrzepłym
Nasionko, z wiosenném ciepłem
Znów wytryska nowym kwiatem,
Barw uroczych lśniąć szkarłatem.
Zimą drzewka postradały
Swoję zielen, śnieżek biały
Ściele się w całun grobowy,
Ale w poranek majowy,
Piękną porze odrodzenia,
Wnet się wszystko rozzielenia,
Słońce zaś, choć zamroczone,
Strzaśnie ponurą oponę
I przy wschodzie po za górą,
Złotą wytryśnie purpurą.
Kiedy wśród twórczej przyrody
Wciąż się byt odradza młody,
Czyżby jeden tylko człowiek
Mógł z chwilą zmrúżenia powiek
Koniec znaleźć? O! i ludzie
W pocie czoła, pracy, trudzie,
Choć z wiekiem utracą siły,
Nie zagubią wśród mogił
Swęj przyszłości ostatecznie:
Naprzód duch istnieje wiecznie,
A powtórę, drogi synu,
Zasługą zasnę czynu
Człowiek, gdy zdobi swe skronie,
Odżyje nawet po zgonie
W pamięci ludów. Tak, dziecie,
Nic nie ginie na tym świecie,
Bo twórcza Boga potęga
Zawsze kres z początkiem sprzęga.

Ludwik Niemojowski.

NAUCZYCIEL W KŁOPOTACH.

CZYLI

PIĘĆDZIESIĄT DNI WAKACYJ,

napisał Michał Krzemień.

(Dalszy ciąg).

— Ech, dzieciństwo! zanieśmy naczynia do strumyka, a pozmywamy wszystko w mgnieniu oka! — postanowił Ste-

fio i zabrawszy się żwawo, istotnie uprzątnęli wreszcie swoje kuchnię na łące. Ale tymczasem chwile biegly i słońce już zaszło.

— Proszę stać! — krzyknął Wacio, gdy chłopcy zmęczeni chcieli znów rzucić się na trawę; oni stanęli zdziwieni, a on mówił dalej:

— Rosa już jest, na trawie leżeć nie można, bo to niezdrowo: marsz do dworu, do łóżek, spać!

— Jakto! a nasz domek? — zawołali chłopcy.

— I owszem, zgodziłem się już na mieszkanie w domku — rzecze Wacio — ale Saturnalie dzisiejsze przeszkodziły nam urządzić się w nowém mieszkaniu, a przyznam się, że nie mam ochoty spać na gołej desce; cóż tedy zrobić lepszego możemy, gdy już się zmierzcha, jeżeli nie poprosić pani Janickiej na tę jedną noc o gościnność?..

Chłopcy zaczęli wyciągać ręce i poruszać się, jakby już czuli ból po spaniu na gołej podłodze, i po namyśle przyznali, że zapóźno już było urządzać się na noc, ponieważ saturnalie zadużo czasu zabrały.

Wacio, któremu wcale się dzieciństw nie chciało, a potrzebował przespaać się za przeszłą noc niedospaną, ucieszył się z tego postanowienia, i wszyscy poszli do dworu, gdzie pani Janicka, uściskawszy swawolników, chciała im dać wicherzę, ale ani słuchać o tém nie chcieli, tylko zaledwo dopadłszy łóżek, pospali się jak bobaki natychmiast.

Dzień 2.

Nocna straszliwa przygoda.

Nazajutrz, zaledwo wstawszy, uprowadziły dzieci pana Łuckiego do łabędziego domku. Zajęto się urządzeniem mieszkania tak gorliwie, że ani pomyślano o gotowaniu jedzenia, tylko z apetytem zjadano, co przysłała pani Janicka. Nabrano worków od pani Janickiej i pobiegłszy do stodoły, zabrano się napychać worki świeżem sianem pachnącém.

— Czekać, chłopcy! — zawołał Wacio i rozmówiwszy się z panem Janickim, nie pozwolił dzieciom brać siana, aż wprzódy Jędrzej z parobkiem roztrząsnęli je troskliwie i przejrzel, bo zdarza się bardzo często, że z sianem z łąk przywiozą ludzie do stodoły węża lub padalca. Właśnie o tém mówił Wacio do chłopców, czekając aż siano będzie przetrząsnęte, gdy Jędrzej zawołał:

— Otóż jest jeden! — i podniósł w górę końcem kija przewieszzone na nim stworzenie niezbyt długie, walcowatego kształtu i ciemnej barwy z błękitnawemi prążkami:

— Dla Boga! nie trzymajcie w górę, Jędrzeju, bo jad z padalca popłynie po kiju na waszą rękę i otruje was na śmierć! — krzyknął parobek Antek, przyskoczył do Jędreja i chwyciwszy go za rękę z kijem, spuścił kij końcem ku ziemi, a potem kijem i kamieniem zabił padalca, który wciąż się ruszał.

— Jak to być może, żeby tu był taki straszny gad, kiedy my z Ojcem nieraz spaliśmy w stogu siana i nigdy nas gady nie ukąsiły? — pytały dzieci zdziwione. Wacio kijem leciutko trącił ogon owego stworzenia i ogon ten zaraz pękł na trzy części, które ciągle się poruszały, a Wacio mówił:

— Jeżeli takie tylko gady znajdują się w tej okolicy, o czém Ojciec wasz musi wiedzieć, to niema żadnego niebezpieczeństwa, gdyż to, co Antek mówił, jest tylko pospolitym ale bezzasadnym ludowym przesądem: padalec ten, podobny bardzo do węża, nie jest wcale jadowitym i żywi się najwięcej owadami i ślimakami. Jest to jedyny gatunek pospolity w całej Europie. Po łacinie nazywa się *Anguis fragilis*, co znaczy: jaszczurka łamliwa, a to z powodu tego kruchego ogona, który, jak wiecie, lada uderzeniem skruszyć można, a który z czasem znowu odrasta.

— Jeżeli padalec nie jest jadowitym, to czegoż się pan lękasz o nas i każesz siano przetrząsać? — zapytał Leonek.

— Ponieważ nie wiem, czy nie ma tu żmij, które są bardzo niebezpieczne — rzekł Wacio i spytał parobka — Antku! czy nie widziałeś tu w okolicy innego większego i grubszego padalca, długiego prawie na łokieć, brunatnej barwy mnięj

ięcój, z łuską na grzbiecie i łuską na głowie, i z pręgą krę-
w zygzak wzdłuż grzbietu? Czy nie widziałeś takiego?

— Ech, ech, — rzecze Antek, mądrze głową kiwając —
pan nie o padalcu mówi, tylko o gadzinie...

— Tak — powie Wacio — zapomniałem tylko, że po-
siach jest zwyczaj nazywać to stworzenie gadziną, a w książ-
kach zowie się ono żmiją. Czyliż w tej okolicy niema gadzin?

— Nie — zaręczył Antek — widziałem ją gadiuę, gdy
szedł z panem w podróż, ale u nas przenigdy tego szkara-
zieństwa nie było, bo to kąsa na śmierć! jeszcze gorzej niż
padalec.

— Że gorzej to gorzej, bo istotnie kąsa bardzo zjadliwie
śmiertelnie nawet — potwierdził Wacio. — A dużych węzów
i dwa łokcie takich, które w wodzie lubią pływać i żabami
się żywić, nie ma tutaj? — pytał Wacio dalej.

— To ja tego paniczowi dobrze nie powiem — rzekł pa-
neczek — ale pamiętam, że gdy byłem mały, to raz łowiąc
węzby schwyciłem ręką niby padalcę, ale dużego na dwa łokcie,
który był trochę zielonawy z żółtymi plamami, i czarno i bia-
ło, jakby srokaty pod brzuchem; trzymałem to w ręce, ale
nie ukąsiło mię, tylko wysliznęło się i uciekło w wodę.

— A więc był to wąż zapewne wodny, który nie kąsa —
powiedział Wacio — ale są inne podobne do nich, i te kąsają,
choć żmija jest najniebezpieczniejszą. Wszakże skoro pan
palecki nie obawia się gadów i ty raz tylko kiedyś jakiegoś
ślizgawego węza widziałeś, to widać, że niema ich w tej
okolicy. A przecież wolę, że przetrząśnięcie siano, ponieważ
ostrożność nigdy nie zawadzi.

Gdy Wacio tak mówił, chłopcy słuchali uważnie i zamy-
śli się bardzo, ochota do roboty koło siana odeszła im jakoś.
Wacio, widząc to, zaczął sam napychać czyste, świeże worki
uchłaczając, przetrząśniętym już sianem, tłómacząc dzieciom,
że w naszych krajach europejskich mało jest gadów niebez-
piecznych i łatwo jest uchronić się od nich trochę ostrożno-
ścią i grubymi butami, gdy się chodzi po mokrych łąkach
i w lasach, a także i po skalistych wertepach. W innych go-
tych częściach świata jest daleko gorzej, bo gady są tam
gromne i bardzo zjadliwe, a przecież i tam potrafi człowiek
odstręczyć sobie z niemi ostrożnością i rozumem, a to do tego
pomaga, że kuglarze tamtejsi umieją nawet najzjadliwsze wę-
zy przyuczać do tańcowania przy muzyce, i podnoszenia się
wysoko na ogonie.

Słuchając opowiadania Wacia, chłopcy zrozumieli, że
ostrożność jest potrzebną, i że ojciec mógł z nimi w sianie na-
leżeć się przespać, bo znał okolicę i wiedział, że niema w niej
gadów szkodliwych, a Wacio pierwszy raz w życiu znajdował
się w tych stronach i przeto powinien był ostrożnym być ze
zględu na powierzone mu dzieci. Zrozumiawszy to, dzieci
pokochały jeszcze bardziej młodego nauczyciela, poznawszy,
jak bardzo dba o nie i jak sumiennie pragnie wypełniać swe
obowiązki. Z pomocą Wacia napełniły dzieci cztery worki
sianem i zadzwigały je do łabędziego domku, już miały ukła-
ść je tam, aby służyły za łóżka, gdy Oleś rzekł:

— Czego pan, panie Łucki, tak się szarpie za czuprynę
i drapie w czoło? Czy my to źle robimy?

— Źle, nie — odparł Wacio — tylko nieuważnie; ale
nie chciałem, żebyście sami zgadli, o co mi chodzi.

Chłopcy zaczęli zgadywać, że dach niezbyt mocny:

— Ej, chyba nie będzie śniegów w Lipcu, to się dach nie
włama — odrzekł Wacio.

— A to chyba ściany i drzwi nie mocne.

— Przecież jesteście mu parkanem i stróżem tu chodzą oko-
ło zabudowań wszystkich — powie znów Wacio.

— A może panu o te duże szpary chodzi, żeby padalce
do nas nie wlażyły?... — nieśmiało powie Leonek.

— Otoż zgadłeś — rzekł Wacio — mniejsza o padalce,
leż że żaby wlażyć tu przez te szpary będą, to żadnej nie ule-
ża wątpliwości, a przynajmniej się, że nie mam najmniejszej
chęci sypania z żabami.

(d. c. n.)

Zadanie konikowe (Pośmiecieszka).

Za	chta	la
ol	ne	chta
wy	kró	szla
la	bra	gi

Odczytać przysłowie historyczne.

Łamigłówka kryształowa.

(Słownik dla Jastrzębia).

1. Litera.
2. Przysłówek.
- 3.
4. Wykrzyknik.
5. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę miasta
we Francji.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Zagadki:

Żóraw u studni.

Łamigłówki głoskowe:

Australia.

Skrzynka do listów.

Pokrzywie z Dziadowszczyzny. Łamigłówki zgłoskowe, odczy-
tywane tylko z jednej strony, nie drukują się nigdy w naszym Pi-
śmie. Do pseudonimu trzeba koniecznie dodać nazwisko prawdzi-
we i adres, bo gdyby Pokrzywa miała otrzymać jaką nagrodę za
wypracowanie, to gdzież ją odeślemy?

Jelonkowi. Ani jedna łamigłówka z dawniejszych nie pozosta-
ła, wszystkie były drukowane, nie pojmujemy, o co się Jelonek
upomina? Chyba, że znajdowały się pomiędzy niemi niektóre
z omyłkami i te usunięte zostały, ale już dziś nie możemy sobie
tego przypomnieć. I ze świeżo nadesłanymi stanie się toż samo:
jeśli się okażą dobre, będą drukowane, sprawdzenie jednak później
troszkę nastąpi. Kazio cieszy się bardzo, że kolega Jelonek czyta
jego dziennik i zapytuje, czy się podoba?

Konik polny trafnie odgadł naszą łamigłówkę, ale trudno zro-
zumieć dla czego nam zarzuca, żeśmy się pomylili, skoro Konik
ma rzeczywiście dwie siostrzyczki. Czyżby ich nie kochał? tego
jednak przypuszczać nawet nie chcemy. Bardzo to ucieszy za-
pewne autora „Nauczyciela w kłopotach”, że opowiadanie jego i star-
szą młodzież zajmuje.

Marabutowi, który musi sobie drzeć na jednej nodze w tej
porze zimowej i dla tego zapewne tak dawno się nie odzywa, prze-
syła pozdrowienie Konik polny, a i my swoje łączymy.

Rezedzie dziękujemy za serdeczne wyrazy, łamigłówkę i szar-
adę zamieścimy, ale zapewne troszkę później, bo mamy wielkie
mnóstwo dawniej nadesłanych.

Avis trafnie odgadł łamigłówkę i sam drugą dobrze ułożył, wy-
drukujemy ją chętnie, tylko o cierpliwość prosimy. Na zapytanie
odpowiadamy, że prawie wszystkie łamigłówki, zamieszczane
w naszym Piśmie, są nadsyłane przez młodych czytelników, musi-
my jednak lepsze tylko wybierać do druku, bo inaczej zabrakłoby
na nie miejsca.

P. Suchocki. Miesiąc Czerwiec jest wyczerpany, książka
tęże treści *Nabożeństwo do serca Jezusowego* kosztuje kop. 15. Czy
ją mamy przysłać?

P. Białokórski. Książki posłane, o cenie słowników donie-
siono.

P. Irenie Bułhakowej. Sama żądana książka kosztuje po cenie niższej w oprawie ozdobnej kop. 57, przesyłka kop. 20, razem 77 kop., należy nam się przeto dopłaty kop. 27, gdyż pani przysłała 50 kop.

P. L. Jeniczowi. *L'ami des enfants* zaprenumerowany.

P. Dynowski. *Don Kiszot* wysłany, równie jak żądany oleodruk. Koszta przesyłki daną przez omyłkę będą pani zwrócone, gdy zostanie odesłany, ale dla mniejszego ambarasu, możeby znalazł gdzie amatora, któryby go chciał nabyć? Książka wysłana kosztuje rs. 1, 76 kop., pozostało więc 3 rs.

P. Aleksandrze Czerawski w Moskwie. Książki żądane przez pocztę wysłane, ale wraz z przesyłką wynoszą rs. 8 kop. 30. Pozostało więc z rubli 10 na dalszą prenumeratę rs. 1. kop. 70.

P. Świdowej. *Powieści z Pisma Ś-go* posłane, kosztują z przesyłką rs. 1 kop. 20. Pozostało na prenumeratę *Wieczorów* rs. 5 kop. 80. Odpowiedz co do Geografii, o którą pani pyta, załączono przy opasce z książką. Co do innych, są jeszcze Baranowskiego, Guthego i Czarnkowskiego do wyboru.

Pani *.** Żądane dwa numera *Wieczorów* wysłane. Szkoła muzyczna dla dzieci Zientarskiego kosztuje rs. 1 kop. 80.

P. Sedlakowi w Bohusławiu. *Lectures Illustrées* dla dzieci kosztuje rocznie rs. 2 kop. 80; przysłano rs. 2 — jest reszty z dawnej prenumeraty kop. 35 — prosimy przeto o kop. 45 dopłaty. Pismo przed tem jeszcze zaprenumerujemy.

P. Szafnagel. Pozostałemi kop. 60 rozporządzono według upoważnienia pani, oddając je ubogiej matce trojga bliźniąt.

P. Szwojnickiej. Omyłka obecnie już sprostowana w prenumeracie *La Saison*, zaszła ztąd, że nie wymieniono jakiej żądano edycji, droższej czy tańszej.

P. Helenie Kołłontajowej w Sielcu. Żądane książki i sprawy wysłane, lecz że na nie musiano dać drewnianą paczkę, ztąd większe koszta, które według załączonego rachunku wynoszą rs. 7 kop. 70. Z przysłanych przeto rs. 10 kop. 70, pozostaje na prenumeratę *Wieczorów* rs. 3.

SPIS KSIĄŻEK,

które prenumeratorzy *Wieczorów Rodziny* nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi po cenie niższej

Wydawnictwa pp. Gebethnera i Wolffa.

Izdebska. Pamiętnik Babuni z ryciną, cena kat. rs. 1 kop. 20, niż. 80 kop.

E. Lejowa. Fantazya i prawda, powieści z rycinami kolorowymi cena kat. rs. 1 niż. 65 kop.

Checiński. Powiastki przełożone z francuzkiego z rycinami cen. kat. rs. 1 niż. 65.

Przyborowski. Baśni ludowe z rycinami kolorowymi cena kat. 1, 50 niż. 1.

Grzechne dziewczynki przekład z francuzkiego z licznymi rycinami cen. kat. 1, 20, niż. 80 kop.

Sekret białego dworku przekład z angielskiego z ryciną cen. kat. 1, 20 niż. 80 kop.

Zaleska. Obraz świata roślinnego z licznymi rycinami cen. kat. 2, 25 niż. 1, 50.

Wydawnictwa p. Maurycyego Orgelbranda.

Dzieduszycka Anastazy. Jak sobie działo radził Opowiadanie dla młodzieży od lat 9 do 12 w oprawie kartaloguej. Cena kat. 1 niż. na 75 kop.

„ Z dziedziny przyrody, przekład z Carey'a z dwiema rycinami, w opr. kart. cena kat. 70 kop. niż. na 50 kop.

„ Szary dom, powieść dla młodzieży, przekład z ang. Greene'a cena kat. kop. 50 niż. na 35.

Czepieliński Fl. Sława, opowiadania z historii starożytności dla młodego wieku, ozdobione licznymi wizerunkami, w opr. kart. cena kat. rs. 1 20 niż. na 90 kop.

Hoffmanowa Kl. Powieści z Pisma Świętego cena kat. 1, 50 niż. 1 rs.

Izdebska Wł. Praca bogactwem, powieść dla dorastającej młodzieży, w opr. kart. rs. 1 niż. 75 kop.

Teresa Jadwiga. Ze świata rzeczywistości i ze świata marzeń, 5 powieści dla dzieci z 5 rycinami w opr. kart. cena kat. 1, 20 niż. 90 kop.

Zajczkowska Z. Trzy powieści dla dzieci z 6 rycinami w opr. kart. cena kat. 1, 20 niż. 90 k.

A. S. Powieści dla młodego wieku cena kat. 1 niż. 75. toż samo z rycinami cen. kat. 1, 50 niż. 1, 20.

Duch opiekunczy, czyli dziennik dziecinny 2 tomy cena kat. 1 80 niż. 75 kop.

Wydawnictwa p. Hösicka.

CUDA NAD CUDAMI 5 komedyi czarodziejskich dla małych dzieci z kolorowanymi rycinami wydanie 2-ie tańsze cena kart. rs. 3, niż. rs. 2, 25.

Cuda nad cudami. Czarodziejsko-pantomimiczny teatrzyk w ruchomych przemianach i prześlicznych kolorowych obrazkach dla grzecznych dzieci. Ozdobnie kartonowane, cen. kart. Sine brody rs. 1. Kot w butach rs. 1. Piękna księżniczka w uśpienym lesie rs. 1. Aladyn czyli Cudowna Lampa rs. 1. Kopciuszek rs. 1 niż. każda po kop. 75.

Ziarnka mądrości Ezopa, w bajeczkach i wierszykach, oraz prześlicznych obrazkach kolorowych na tle złotem. Dla małych dzieci. Z kolorową okładką, cena kart. rs. 1 niż. 75 kop.

Don - Kiszot'a z Manszy przygody, podróże i wielkie czyny. Kuciesze i zabawie małych dzieci, z wielkimi kolorowanymi rycinami i kolorową okładką cena kop. 50 niż. 37 1/2.

Bieda z nędzą. Baśń ludowa, opracowana dla młodzieży przez K. Wł. Wojcieckiego, z prześlicznymi rycinami kolorowymi (chromolitografiami) Wł. Szymanowskiego z ozdobną okładką kartonowaną cena rs. 1, 20. niż. kop. 90.

Pan Twardowski. Podanie ludowe według klehdy K. Wł. Wojcieckiego dla małych dzieci opracowane, z pysznymi kolorowanymi ilustracyami (oleodrukami) Wład. Szymanowskiego. Ozdobnie kartonowane, z kolorową ryciną na tytule. Cena rs. 20 na kop. 90.

Rozrywki na dni świąteczne. Powiastki, komedjka i przypowieści moralne dla młodzieży, przez Z. Kaplińską. Cena w ozdobnej oprawie rs. 1, 20 bez oprawy kop. 75, kartonowane rs. 1 niż. w oprawie kop. 90. kartonowane kop. 75 bez oprawy kop. 57.

Powieści z Pisma Świętego. Wierszem dla dzieci opowiedziane przez Jana z Rzeszowa z wieloma ryc. dużym wyraźnym drukiem. W ozdobnej opr. kop. 75 niż. kop. 57.

Przechadzki ojca z dziećmi, po polu, łąkach, lesie i ogrodzie, czyli świat roślinny w powieściach, rozmowach i opowiadaniach przez Emilję Lejową. Cena w ozdobnej opr. rs. 2, w opr. zwycz. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 niż. w ozd. oprawie rs. 1, 50 w zwycz. rs. 1, 12 bez oprawy rs. 1.

Pamiętnik Laury. Upominek babuni dla swojej dorastającej wnuczki, przez Felicyę Szymanowską. Z rycinami. Cena w ozdobnej oprawie, z bogatym wyciskami i złaconiami rs. 2 w opr. zwycz. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 niż. w ozd. opr. rs. 1, 50 w zwycz. opr. rs. 1, 12 bez opr. rs. 1.

Mali Mężczyźni. Powieść pani Alcott, z angielskiego. Cena w oprawie rs. 1 bez opr. 75 niż. w opr. 75 bez oprawy 57.

Za przesyłkę pocztą dolicza się po kop. 20 do każdego rubla wartości książek.